

K. 11408

A. Brückner

Obrazki staroszlacheckie.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
80-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71
Tel. 26-68-63

W przewrotach umysłowych, politycznych i społecznych stu lat ostatnich zaniknął świat staroszlachecki; świat ciekawy, pełen animuszu i fantazyi, ofiar i występków, wylanej miłości i nienawiści skrytej; świat pełen cudów i dziwów, sprzeczności i nielogiczności, nagłych przeskoków i torów ubitych; świat, naprzemiany rozpasany i skromny, dumny i korny, rozrzutny i skąpy, nieludzko twardy i niewieście miękki, hałaśliwy i cichy, barwny i szary; świat, odrębny od wszystkiego, co go otaczało, anomalia, niestety, i anachronizm, w ładzie europejskim... świat, którego podwaliny sięgały dalekiej przeszłości, choć dopiero za Jana III i Sasów ostatecznie się rozwinął, a zarazem wysilił.

W osobliwym tym świecie kojarzyły się, czasem w jednej osobie lub instytucji, najniezgodniejsze pierwiastki. W parze z wszechpotężnym wpływem magnatów, z zawisłością szlachty, z czepianiem się klamki dworskiej, z najcierpliwszym znoszeniem najnieznośniejszych kaprysów i fumów pańskich, układały się równość szlachcica a wojewody, i braterstwo wszystkich, jakby między członkami jednej

60-

rodziny, wyrażane owym, gdzieindziej nieznanym, terminem „braci,” uderzającym obcych i swoich już w szesnastym wieku, uchodzącym za mistyczną oznakę, zespalającą naród szlachecki, jak zespałał pokolenia izraelskie obrządek i wyznanie.

Obok skrupulatnej religijności, przeświadczonej o specjalnym dozorze Opatrzności nad byle krokiem i ruchem człowieka, karcącej każde złamanie postu, każde opuszczenie Mszy świętej, każde odmówienie jałmużny natychmiastowem niepowodzeniem, chorobą lub klęską, ileż-to razy trafiamy na używanie wszelkich, choćby najmniej godziwych środków, naginanie i deptanie sprawiedliwości, jawne naigranie się z przykazań Boskich i ludzkich, byle postawić na swoim, byle poniżyć bliźniego, byle zagarnąć jak najwięcej dóbr i wpływów. Obok wyuzdanej samowoli, rozbijającej się nie o prawo i rządy, lecz o równą samowolę drugich, nie liczącej się więc z niczem, chyba tylko z siłą — szanowanie prastarych tradycji, poddawanie się rygorowi familijnemu, niewyłamywanie się z pod nieukróconej tyranii rodzicielskiej, trawiący niepokój, by niczem nie splamić herbowego klejnotu.

Obok przejęcia się zasadami republikańskimi, obok gardłowania za złotą wolnością, obok wychwalania „nego syna koronnego” i jego zasług obywatelskich, obok ciągłego przykładania miary cnót starogreckich i starorzymskich do osób i czynów najniepokazniejszych — kompletne domatorstwo, nieinteresujące się żadnymi sprawami Rzeczypospolitej! sobkostwo, goniące jedynie za obłowem, kupczenie osobami, związkami i wpływami, nieuznawanie jakichkolwiek obowiązków względem państwa, okradanie publicznego grosza systematycznie, sprzedajność sądów, zrywanie sejmów, rzucanie rozległych ziem bez wojska, skarbu i rządu na pastwę losów. Obok wielkiej osobistej odwagi, powszechnej zrzeczności w używaniu broni i cenięcia wszelkich przymiotów marsowych, najpiękniejszej ozdoby szlacheckiej — najzupełniejszy zanik sztuki i rzemiosła wojennego i ducha rycerskiego ¹⁾,

¹⁾ Przytoczmy choć jeden, mniej znany przykład: „Dyaryusz podjazdu mego na Haydamaków z Berdyczowa ekspedycywanego r. p. 1749“ (2 arkusze in 4-o) opowiada, jak W. Koniuszy Litewski, uprosiwszy łaski Najśw. M. P. Berdyczowskiej, wyruszył, wojował i zwyciężył, na pamiątkę wiekopomnego dzieła wystawił „stół radziwiłowski na Polesiu kijowskim,” odbierał gratulacje i dziękczynienia z zapewnieniami, jak wielki dług ojczyzna u niego zaciągnęła, jaką miłość narodu sobie zaskarbił, a to wszystko za to, że na czele *kilkuset* ludzi uwijał się za — *piętnastu* hajdamakami, nie uczyniwszy im ani sobie szkody. Charakterystyczne są uwagi np. tego rodzaju: „sciendum y to, że w dzień potyczki żaden z Panów Towarzyszów chorągwi nadwornych nie nacierał y owszem po krzakach się krył,” lub oskoczono w polu hajdama-

przeobrażenie wojowniczej szlachty w spokojnych ziemian, splawiaczy zboża i drzewa, handlarzy bydła.

Obok nader miernych zasobów umysłowych, czerpanych w szkole, wbijającej Alwara i retorykę, zaszczerpiającej obrządkowość i nietolerancję, uchylającej wszelką myśl niezawisłą i nową, obok takich zasobów polerowanych dalej po dworach i folwarkach, po stajniach i łowach, po sejmikach i trybunałach — zarozumiałe pomiatanie wiedzą, ustrojem i życiem sąsiedzkich, nie wolnych, nie szlacheckich narodów; zaskorupianie się w węglach domowych, za murami chińskimi, dzieląciami od powietrza i ruchu europejskiego; cenięcie jedynych grubozmysłowych uciech, suto zastawionych stołów, pijatyki, gwarne go kuligu czy polowania, żartów rubasznych kwestarzy.

Uspodobienie tych ludzi, zdrowych i krzepkich, nadzwyczaj wrażliwe; skorzy do wybuchów gniewu czy żalu, zarówno do łez i uściśków, jak do przymówek i szabli, zapominają natychmiast o czułościach i swarach, mieniają affekty i względy; w gruncie są miękcy, dobrodusznisi, chwiejni, łatwowierni, towarzyscy, stroniący od samotności, rozmyślań, rachunków sumienia. Miary w życiu często nie znają wcale; utracusze, panowie Urowiescy, albo na Bezdechowie, jak ich zwano, dogadzając fantazyi i ambicyi, wysadzają się na wszelakie zbytki; goniąc za popularnością, lub bez żadnych celów ubocznych, uprawiają niesłychaną gościnność, karmią i panoszą trzody przyjaciół, pasorzytów i służalców, rujnują doszczętnie swe mienie; inni znowu, chciwi na grosz, odmawiają wszystkiego sobie i swoim, wystrasżają skąpstwem już nie gościa, ale psa i żebraka, okrywają się śmiesznością i pogardą. Próżność ich tworzy niewidziane nigdy urzędy i godności po nieznanym, dalekich powiatach, przynosi niesłychanym w Europie trybem tytuły ojca na syna, odnawiając kasztelanów i cześników w kasztelanicach i cześnikowicach; wylicza skrupulatnie najdalsze kolligacje, byle z Radziwiłłami, byle z Tęczyńskimi; wynosi się chępliwie ponad równych, i nie uznaje ludzi w nieherbowych bliźnich, w szycach, szotach, zamsikach, łykach i chamach.

Z takimi przymiotami i zdrożnościami godzą się ład patryarchalny w domu i po-za domem, w rodzinie, z czeladzią, z kmiotkami; przykładowe pożycie familijne, unikające wszystkiego, co-by zgorzyszy mogło; skromność młodzieży, affekty braterskie, gościnność, skora chęć ku usługom. Korzenie się przed powagą wieku, urzędu i stanu,

ków, tylko dwóch z nich odstrzeliwało się, reszta „w przysidy skakali y na wieczery” pułkownika prosili, uszli też cało. Naiwne to opowiadanie księcia Ulryka stanie za najjadliwszą satyrą na niegotowość i niekarność polskich szeregów.

pełnienie cnót chrześcijańskich, miłosierdzia, pokory, wstrzemięźliwości. Jednolity tryb wychowania i życia, jednakowe zasady i przesady, rozrywki i zajęcia, skłonności i nałogi, wyrówny wają różnice między fizyognomiami duchowemi; nawet zewnętrznie szlachta przedstawia się najchętniej w jednym stroju i kroju. I zacierają się w ten sposób różnice państw i ziem, urzędów i stanów, rodów i familii.

Co najdziwniejsza, świat ten, w gruncie rzeczy, mimo tylu zadatków dobra i szlachetności, raczej nieponętny, wykoszlawiony, zepsuty — wypiękniał nam niesłychanie. Dzięki perspektywie czasu, w jaskrawym blasku zachodzącego słońca, jaki nań rzuciła poezya, wyrównało się wszystko, co było skrzywione, rozjaśniło się wszystko, co było ciemne, nabrało ruchu i znaczenia wszystko, co było martwe i marne. Patrząc wzrokiem poezyi, nie dopatrywaliśmy tego, co brzydkie i złe, a podziwialiśmy, co dobre i piękne.

Głębsze badanie coraz liczniejszych pomników i pamiętników siedemnastego i osiemnastego wieku wyleczyło nas z przesadnego, jednostronnego uwielbiania staroszlacheckiej przeszłości, odkryło liczne a znaczne plamy. W przechowanych i ogłoszonych dotąd pomnikach i pamiętnikach więcej jednak spotykamy rzeczy treści, że tak powiemy, publicznej, obozowych i wojennych, poselskich i trybunalskich, dyplomatycznych i dworskich, lub familijnych; nawet u Paska słyszymy częściej o przewagach na obczyźnie i wojnie, niż o życiu w domu a pokoju; w tak wymownem zresztą dziele Matuszewicza giną obrazki rodzajowe w powodzi procesów, zatargów, intryg, jakie mu życie zapełniały i zatruwały; Kółtają nie wybrnął po-za kreślenie stanu oświaty i duchowieństwa; jedyny Kitowicz wyłącznie stroną obyczajową się zajął, nie opowiadał jednak, lecz opisywał i wyliczał tylko.

Nie będzie więc chyba zbyt cennym przytoczyć szereg obrazków, malujących byt i żywot staroszlachecki, nie dworski i publiczny, lecz to o tyle cenniejsze, że wyszły z pod pióra świadka współczesnego myślącego zdrowo i trzeźwo, a kochającego społeczeństwo, nie ślepego na wady, ale też nie czerniącego niezasażenie. Świadkiem tym — Wacław Potocki, zapisujący chętnie w obszerne swe księgi przejścia i przygody, anegdoty i żarty szlacheckie; im rzadziej sam z po-za dodamowy i wiejski, w najrozmaitszych szczegółach i objawach. Obrazki mu się wychylał, tem gorliwiej w ciągu osamotnionej starości przeżywał on w pamięci, co widział i słyszał, a odnowione wrażenia rzucał na papier w wierszu jędrnym, nieraz twardym, zwykle potoczystym i jasnym, uśmiechając się do brodu, bez złości, nad ułomnościami braci szlacheckiej, objawiającemi się w domu, czy w gościnie, w fanta-

zyi górnej, czy w niskich popędach, w braku dyskrecyi, czy w zbytnich ceremoniach. Dobroduszność opuszcza starca, humor jego przechodzi w sarkazm, a obrazek rodzajowy staje się groźną satyrą, gdy omawia stosunki braci szlachty, jako panów do chłopą, jako posłów do państwa, jako duchownych do stanu, urzędników, żołnierzy.

Już w „Ostatnich latach Wacława Potockiego”¹⁾ mogliśmy przytoczyć szereg obrazków, przedstawiających gospodarkę szlachecką na Podgórzu, nie intratną, choć wymagającą wiele zachodu, bądź zbytnią gościnność, która nie wypuszczała gościa po trzeźwemu przed nocą, narażając go, gdy się wreszcie wydostanie, na skrócenie karku po wertepach i wąwozach; to znowu niedyskrecyę gospodarza, przyjmującego gościa niechętnie, milczkiem, lub morzącego późnym a chudym obiadem, zastawionym z wielką pretensyą; albo częstszą jeszcze niedyskrecyę gościa, nudnego, naprzykrzonego, lub, co gorsza, pijanego, i t. p.

Przytaczamy nowy szereg takich obrazków, wybranych z „Moralioń” i z „Ogrodu” Potockiego, tem cenniejszych, że właśnie dawna poezya podobnych obrazków, idyll, prawie że nie zna. Przeważa w niej satyra, wyszydzenie i karcenie wszelakich zdrożności, wybierające rysy i szczegóły śmieszne lub wstrętne; rzadkie zaś w niej obrazki, jak w niektórych ustępach u Reja i w kilku idyllach u Szymonowicza. Od elementu dydaktycznego, moralizującego, satyrycznego i Potocki nie jest wolny, ale nerw epicki tak w nim silnie drga, poeta tak się lubuje w opowiadaniu szerokiem a obfitem, że morał schodzi niemal na plan drugorzędny: „haec fabula docet” ogranicza się do nagłówka samego, i tylko wybór tematu takiego, a nie innego, dowodzi chęci nauczania i przestrzegania.

Czy wszystkie temata i szczegóły tych obrazków ściśle są prawdziwe, trudno dziś dochodzić; tchną one niekłamaniem życiem i szczerą prawdą, choć miejscami odbiera się wrażenie pewnej przesady, choć niekiedy, zamiast prawdziwego zdarzenia, wplątała się szlachecka tradycya, facecya czy anegdota, choć czasem—parę razy—można złapać poetę na gorącym uczynku, gdy opowiada w pierwszej osobie to, co się przecież nie jemu wydarzyło, lub czego świadkiem naocznym sam nie był. Lecz mimo zapewnień Potockiego, że dwadzieścia poetów, tyleż malarzy i tyleż myśliwych — kopa łgarzy, same obrazy i szczegóły świadczą o prawdzie swą prostotą, niewymuszonością, szczerością;

¹⁾ Por. „Bibl. Warsz.” za lipiec 1896, str. 1 — 34.

odnajdujemy w nich ciągle znajomych ludzi i rysy znajome; widzieliśmy ich, lub choć słyszeliśmy i czytaliśmy o nich.

Rozejrzyjmyż się za autorem w typach szlacheckich, jakie przedstawia; tyle ich jest, i tak są różne, a rzecz o nich tak dalece rozproszona po owych foliantach, że o zachowaniu jakiegoś ładu ścisłego ani myśleć; nie krępujemy się też zbytniem systematyzowaniem.

Zacznijmy od tego, od czego usposobienie Potockiego najwięcej stroniło: od życia nad stan, od owej „fantazyi górnej,“ nie liczącej się z zasobami, każącej dziedzicowi jednej wioszczyzny przebudowywać dworek dziadowski na nowomodny pałac, od owej próżności, nadstawiającej czczemi tytułami niepokaźność rodu, lub maskującej chudopacholstwo byle jakim środeczkiem, narażającym w końcu na wstyd i upokorzenie. Pierwszy wiersz, z łacińską maksymą („lemą”) w tytule, przetłómaczoną na końcu, opisuje ową reformę pałacu, w którym wino się leje, choć niema co jeść; drugi powiada o chudopachołku, jadącym parą koni, a udającym jednego za wierzchowca, i o tem, jakiego się sromu napytał:

Na pewną przyjacielską zaproszony radę,
 W stary dom do młodego szlacheica przyjadę,
 Kędym za dziada bywał. Lecz, że indziej wrota
 Przeniósł, długo mi przyszło błądzić koło płota.
 Nie poznałem reformy, począwszy od dachu,
 Całego — oprócz miejsca, na którym stał — gmachu.
 Wejście nie tam, gdzie było przed laty, do sieni;
 Kędy dotąd piekarnia, na izbę odmieni;
 Dziw pełno, bo nowe drzwi w każdej ścienie stawia;
 Stare, którymim chadzał, deszczkami zaprawia.
 Też w oknach, co i we drzwiach, wymyśli, też cuda:
 Więcej, większych, niż pierwsze były, dla zbytku da.
 W osobnym piec, w osobnym kącie komin stoi,
 Gdzie ledwie dziad w browarze abo w kuchni swojej
 Przez rok tyle dREW spalił, co wnuk dziś w kilku dni.
 Wszędzie dostatek wina, jak wody ze studni.
 Nie kwadra, pomyślę, żyć tak do jednej wioski.
 Ogród, gdzie krowom trawę żęto, ogród włoski.
 I krów też niemasz, same kucharki w piekarni
 Doją; młodsze na kuchnię szły, starsza do psiarni.
 Jeśliż bydynki w oczu mych były cudowne,

Dziesięćkróć tyle w uszach przezwiska ich słowne:
Kabinet; Galeryja; Gardaroba; nowe,
Co u nas alkierz albo kownata, „Alkowe.
Parkany w koło, baszty w nich po wszystkich rogach.
Pytam, na co? o żadnych nie słycałem trwogach.
Gorsza egzekucya trybunalska, prawi,
Bo się dłużej niż orda, zajechawszy, bawi.
Wielki prawda dostatek, ale tylko wina.
W izbie stół krótki; w stajni i żłób i drabina,
Po ścianach rozmaity fożą (modą) wiszą grzebła —
Cóż? ani ziarnka owsa, ani siana ździebła.
Ale i wieś, prócz tego, że w swym leży placu,
Nie uszła, moim zdaniem, w reformie pałacu.
Bywało w niej dwadzieścia, dziś tylko pięć kmieci
I to każdemu niemal wierzch z chałupy zleci.
Płotu-by, a dopieroż nie pytaj stodoły;
Same, kędy pokrzywy nie zarostą, doły.
Chyba które zastawą szlachta trzyma role,
Tam ogrody i brogi widzieć przy stodole.
Więc nazajutrz, skoro świt, bo sam co jeść niema,
Wsiadając na wóz, piszę na ścienie to lema:
Przypomnij, dawny domie, stare sobie wieki:
Jakoż ci od dziada dziś panuje daleki!

Podobne nieopatrzne budowanie kreśli Potocki we wstępie do wiersza: „Wedle stawu grobla:”

Dwór — sroga machina, wieś — przykrył-by rozjazdem,
Jako drobne sikory pod bocianiem gniazdem,
Kiedy nad żabą stanie z wyciągnioną szyją.
W stodole-byś bezpiecznie mógł gonić z kopiją;
Frymarczył-by się z całym swoim urodzajem,
Tak wspinało mieszkając, pan z drugim ratajem.
Alem się nadewszystko śmiał w gąsiorze, ze stu
Dziór na chłopów, a nie masz we wsi ich dwudziestu.
Czy w nie hidrę lerneńską, czy świnię z kiernozy,
Jako jeden pan, sadza karą nowej foży,
Objężdżając folwarki, — i dobrze tak na nie —
Miasto dworników, kędy prosiąt nie zastanie?

Gdzie pojrzysz, niwczym kwadry, niwczym proporcej --
Byle dosyć uczynić górnej fantazyej

i t. d.

Często wstydu przyczyną fantazyja górna.

Jeszcze siedzę u stołu po obiedzie z żoną,
Aż słuzały w koralu z presumpcyą ona —
Rzekł-byś, że wojewodzy, pistolet za pasem:
„Pan mój kłania, jeśli to nie będzie z niewczasem,
„I sam stawi Waszmości na godzinę krótką.”
Spytawszy: czyż? że na czczo, poczęstuję wódką.
„Jeszcze, rzecze, Jegomość w mili.” Tak wezas daje
O sobie znać, pomyśle. Aż chłopcy hultaje
Szeptają, że zostawiwszy jednego u dyszla,
Na drugim (po wytartej wydaje sierci szla)
Przyjechał tu i póki sługa u nas bawi,
O jednym ten Jegomość koniu się nie stawi.
Każe swoim, żeby go nieznacznie upoić:
„Szkoda się, rzekę, trudzić, szkoda drogę dwoić.”
Sługa śpi; pan czekając w niedalekim lesie,
Spluwa, bo już śródwieczór, siedząc na koleśie.
Nie wie, co się z nim stało; o jednym też trudno
Koniu ma jechać; już ma na żołądku nudno;
Już się przespał; już słońce ku zachodu mierzy:
Obiecawszy na obiad, omieszka wieczery.
Tedy się podpierając szablą miasto laski,
Zostawiwszy przy rzeczach Maćka u kolaski,
Idzie pieszo Jegomość. Gdzie kondysi zjadli,
Postrzegszy na podwórzu, kupą nań wypadli.
Obracają go długo, widząc, że człek obcy;
Aż go ledwie wybiegszy, obronili chłopcy.
Zaczem wyszedszy witam, i gościowi radem,
I wedle obietnice czekałem z obiadem.
„Znać, że coś, rzekę, zaszło Waszmości w tej mierze,
„Kiedyś miasto obiadu przybył do wieczery.”
Pyta o swego sługę. „Ledwiem ci go, rzekę,
„Utrzymał, tak się kwapił, dawszy swym w opiekę.”
A już stół do wieczery gotują zwyczajnie.
„Niech konie Jegomości prowadzą do stajnie!”

Chociaż ledwie utrzymać śmiechu w uściech zdołam,
 Niech im goły co prędzej obrok dadzą, wołam.
 Aż ów: „Braciszku, rzecze do mojego sługi,
 „Tylkoć tu jeden mój koń, niedaleko drugi —
 „Lecz i tamten, upewniam, nie stawi się, aże
 „Droge mu ten, który tu wprzód przyszedł, pokaże.
 „Każ memu pijakowi, niech-by już zaniechał
 „Wczasu, a na tym koniu po kolasę jechał.”
 Ale skoro do żartów przylejemy wina,
 Przyzna się do swojego konceptu chudzina,
 Że uzdeczkę z kolbaką wożąc chciał dwie wronie
 Za jedną chwytać nogę, rozerwawszy konie.
 Aż on sługa do izby. „Dobrześ, rzecze, sprawił!”
 „Trudnom miał jechać, gdy mię Jegomość zabawił.”
 „Powiedzieć było, żeś mię o jednym na błoniu
 „Zostawił, wyprzągłszy mi naręcznego koniu.”
 „Przyznam, żem się sekretu, bom tego nie widział
 „Jako żywy, wydawać pana swego wstydał.”
 „I u mnie nie obaczysz od tych czas, przysięgę,
 Rzecze pan, aż sobie sześć koni kiedy sprzęgę.”

Chudzina, widocznie dobry chłopak, i nauka w las nie pójdzie; in-
 ni za to, niepoprawni, wysadzają się na co ich nie stać, i choćby w ty-
 tułach *wiele rzeczy z jednej robią*, co poeta w wierszu pod tymże na-
 główkiem wismiewa:

. Zwłaszcza chudzy pachoły ani zasłużeni,
 Niż rodzenie szlacheckie, drożej tytuł ceni.
 Jakikolwiek, choć niema pożytku trzech groszy,
 I niem się nad prostego szlachcica kokoszy. ...
 Choć i dziesiątek będzie cześniów, podczaszych,
 Choć i z obcych województw: ujdzie czasów naszych.
 Nietylko tam nie ni-ma, ale w której stronie
 Nie bywszy nie wie, w Litwie czy powiat w Koronie.
 Śmieszniejszą jeszcze powiem; niemali faworu
 Uprosić, za co kupić, urzędu u dworu,
 Oknem trafi, ode drzwi zastąpisz-li pysze:
 Imion i przezwisk sobie kilkoro przepisz.
 Mało nań jedno krzczone i przezwisko z dziada,
 Herbem abo wioskami tytułu dokłada,
 Okrom tej, zkaąd się jego zowie parantela,
 Że się tylko na kmieci swoich nie ośmiela!

Owo ndawanie i sadzenie się, ów brak prostoty i szczerości uwydatnia się i indziej, szczególnie w owem ceremoniuwaniu i krygowaniu się, niejedzeniu bez ciągłej przynuki, niewypełnianiu prostej prośby, jeśli jej stokrotnie nie powtórzysz, obwijaniu najdrobniejszej rzeczy w szerokie a niepotrzebne quamquam (aryngi, przemowy). Próby tej parafianščyzny, uchodzącej w pewnych kołach długo za jakiś wytworny ton, szczególnie u kobiet, daje Potocki nieraz, np. w wierszu o obowiązkach gościa i gospodarza:

... Będzie też zaś gość drugi, choć się ztąd galantem,
 Ja go mogę nieszczerym nazwać sykofantem:
 Zastaw stół, postaw przedź wino abo piwo,
 Nie będzie jadł, nie będzie i pił, jako żywo.
 Choć się mu chce jeść, ledwie niekaždy kawałek,
 Choć pić, ledwie nie každy wpraszać weń michałek (łyk, haust);
 Inaczej cię, choć natka kiszki jak burdziuki,
 Oszczeka, że dostatek za psa bez przynuki.
 (Było szto jesty, pity, przynuki ne było):
 Na prezentę gościowi pokazał, chcąc, żeby
 Widział dostatek, sobie schował od potrzeby.
 Jakoż będzie gospodarz drugi taki sknera
 Tydzień żyw tym, co z stołu przy gościu nazbiera,
 Lepiej się ten dwa razy moim zdaniem sprawi,
 Co niedostatku swego ochotą nadstawi.

Daj to psu, co masz na myśli.

Naturą, czy to idzie drugim ludziom zrzęda,
 A zwłaszcza białym głowom, że kiedy usięda
 Do obiadu, nie chcą jeść, choć im co smakuje,
 Na co prosi, i czym ją gospodarz częstuje...
 Że nię z dobrej swej woli, że nie sama bierze...
 Jeśli też do ust włoży, to bardzo po kąsku...
 Jedz ty w moim, choćiem ja nie jadła w twym domu...
 Śniadania, podwieczorka, nigdziez jej nie noście,
 W swoim go domu jada, zwłaszcza sąli goście...
 We wszystkimeście pyszne, moje drogie paniel
 Jednak że to nikomu nie szkodzi, tylko wam,
 Jem u nich, wolno pościć u mnie białym głowam...
 Jem kuropatwę, choć kto nie chce u mnie gąski:

Bodaj większą nie jednać rzeczą przyjaźń czyje,
 Tylko tym, że się najem smaczno i napiję.
 Nie same to niewiasty i mężczyźni bredzą
 Sykofantą, gdy w swoim domu tylko jedzą,
 A zwłaszcza dygnitarzom, ziemiańskim obiadem
 Powagi swej naruszyć, nie było-by ładem:
 Woli, choć co wiedzieć, czym kielbasa nadziona,
 W karczmie, niż u szlachcica na ryżu kapłona.

Co było ciężko począć, nie chce się pokinać.

Więc po barszczu kapłona zjadшы i kielbasę,
 Tokajskiem winem głowę zagrzejemy w krasę.
 Proszę, która z sąsiadą gościła, panienki,
 Wiedząc, że w tym ćwiczona, że miała głos cienki,
 Żeby nam zaśpiewała, oraz piję do niej;
 Ale ta nic, tylko się wypiwszy, ukłoni.
 Proszę znowu, oddawszy drugi jej kieliszek.
 Powie, że dla śpiewania nie była u mniszek.
 Nie przestanę ja prosić, rozkazować pani —
 Pije tylko chudziątko, śpiewać ani ani.
 Dopiero ją krzakać, spluwać, stroić fochy,
 Skoro kupić jedwabne obiecuję pończochy.
 I pocznie o człowieka grzesznego upadku.
 Już, rzekę, adwent minął, mięsopust w ostatku,
 Post za pasem, gdyby co o Maćku z Dorotą,
 Co się dziś w mojej karczmie przy gorzałce gniotą.
 Dopieroż moja panna gardziołek rozpasze,
 Czego dotąd i karczmy nie słycały nasze,
 Co jej ślina przyniesie.....
 Aż naostatek z Prychną zaśpiewa nam Bienia.
 „Już, rzekę, mościa Panno, dosyć tego pienia,
 „Dość łaski, czas-by sobie, czas gardłu odpocząć.”
 Aleć jej trudniej przestać, niżli było począć.
 Tak bardzo rozkomosi (rozbawi się), tak bardzo rozrucha,
 Że ni perswazyjej mojej ani słucha
 Swej rozkazania paniej; nie przestanie kawić (drwić, pleść),
 Aż do pończoch obiecuję sznurówkę jej sprawić.
 Bies dla jednej roboty dwakroć widział tracić;
 Drogo początek, jeszcze drożej koniec płacić.

Gdy się ta Mościa Panna tak długo prosić dawała, raz, by zaczęła, drugi raz, by przestała, sarka poeta w innym miejscu, z tłumaczeniem przysłowia łacińskiego w nagłówku, na zbytnie ceregiele sąsiada, proszącego o drobnostkę:

... Przyjechał do mnie sąsiad. Radem mu zwyczajnie,
 Więc proszę, żeby konie wiedziono do stajnie,
 (Bo mię zastał na dworze); toż w domowe ściany
 Proszę bez ceremonii; idzie zadumany.
 Siadszy, żeby na ustęp szli, na sługi skinie.
 Już-ci mi coś, pomyślę, pewnie z domu zginie:
 Pieniądzy chce pożyczyć abo dziewosłębi.
 A ten słów i konceptu co może najgłębi
 Zdobywszy, poczuie *quamquam*. Wysławia mie wprzody
 Z ochoty, z przyjacielskiej w potrzebie wygody.
 Kłaniam się i sam tego nie przyznaję sobie,
 Żem jeszcze nie był na tej u Waszmości próbie,
 Za pierwszą okazją jednak to pokażę,
 Jako łaskę sąsiedzką, jako przyjaźń ważę.
 Słucham, do czego zmierza ona oracyja,
 Gdzie na pół słowa polskie z łaciną przewija.
 Skoro do konkluzyjej tak długich rozwodów —
 O grefiki do swoich prosi mię ogrodów.
 Śmieszno mi, lecz śmiech trzymam, gdyż tego nie warty
 Latorośli. Zaś myślę, czy ze mnie nie żarty?
 Zaś uważam, że na coś większego zakroił,
 Ale rozmyślił, widząc, żeby kozła doił.
 Cóż po tej ceremonii? nie gałązki małe,
 Gotówem drzewa kopać dla przyjaźni całe.
 Więc chcąc go wyrozumieć, każę przynieść wina,
 Aż za każdym kieliszkiem podobną wypina
 Oracyją. I nogi bolą mię i uszy,
 Ledwie pijąc za zdrowie umarłych się ruszy.
 „Nie lubię szewca, rzekę, co na małą nogę
 „Wielkie kraje cholewy; temu równać mogę
 „Człeka, który o podłej rzeczy długo gada.
 „Kwituję z konwersacyi takiego sąsiada.”

Niewyczerpanym w kraju gościnności tematem jest stosunek między gospodarzem a gościem, brak dyskrecyi w jednym, czy drugim; za-

poznaliśmy się już wyżej z waryacyami tego tematu: teraz przyt aczamy jeszcze kilka, o skąpym gospodarzu, co sam zjada pieczeń (niezwykły dla niego przysmak), na jaką gościa zaprosił, i o drugim sknerze, traktującym szczerze winem skwaśniałem, a jako pendant do takich gospodarzy, gości znowu, chciwych na łakome kąski i dobre winko, i zapominających o wszelkich względach przyzwoitości; nakoniec przydłuższą śmieszłą historję o niegościnnym gospodarzu i o niefortunnym ukrywaniu się jego w korycie, choć historia ta raczej na anegdotę, niż na prawdziwe zdarzenie zakrawa.

Dawszy ofiarę, sam ją zjadł.

Odważył się sąsiad mój, nie jadszy go póty,
 Kupił w mieście pieczonkę i mięsa dwa szróty.
 Prosi na domowego i mnie też jelenia:
 Kto nawyknie wątrobie, dziwna mu pieczenia.
 Choć pieniędzy, na dobrej wsi siedząc, nazobie,
 Trudno miał być rad gościom, żalując sam sobie.
 Więc że i on z łaski swej jadał często ze mną,
 Jadę, żebym chęć chęcią oddał mu wzajemną.
 Bardzo krótki do stołu aparat, atoli
 Dosyć na gospodarza chleba dać a soli,
 Byle, rzekę, ochotą półmisków nadstawił.
 Jednak widzę, że i w tej grubijan pokawił:
 Żre sam, jakby wyssaną z psiarnie wywarł sukę,
 Jako wilk wylacniały, piątą mięsa sztukę;
 Srogie tka w gardziel, zęby minawszy, kawalce;
 Po same spery liżąc w gębę wtyka palce;
 Gościa rurą odbywszy, kości pod stół ciśka.
 Sięgnął-bym, ale nie masz po co, do półmiska.
 Darmo siedzi i żona i kilkoro dzieci,
 A mnie co raz: „Nie masz nic do smaku Waszeci,
 „Choć, patrząc na mnie, mógł-by apetyt przystąpić.
 „Podobno piwa trzeba — niech rychło dadzą pić.”
 Chciało mi się, go z szkleńce wlawszy w owę rurę,
 W łeb mu nią dać. Tymczasem chudą niosą kure.
 „Dojedzcie, rzekę, panie sąsiedzie, ostatka.
 „Mogliście zjeść swój obiad, nie miawszy mnie świadka.
 „Jest apetyt, lepszy być nie może o piątku:
 „Nieszczęścież po nim w gębę, gdy pustki w żołądku.

Pierwej chartom, potem ogarom.

Miałem gośćmi usarżów, aż też szarapatka
 Jeden sąsiad mój, widząc, se się trafia gratka,
 W rzeczy mając potrzebę, jedzie po mszej, żeby
 Najadł, napił się wina, bo nie miał potrzeby.
 Jakby go z chlewą wywarł, żre, kieliszki zcedza.
 Do każdego półmiska wszystkich nas upredza.
 Mąkotno zrazu, potym i dziwno było mi,
 Że tak ludzie mogą być grubi, tak łakomi,
 Szlachta zwłaszcza, gdzie małe w polityce dzieci
 Ćwiczą, choć ją u drugich widzujemy kmieci.
 Karczmy, jarmarczki winne, gdzie zasiadysz z gburą.
 Na gorzałce, zapomnią szlacheckiej nutury.
 Tymczasem sługa parę kuropatw postawi.
 Aż on z jedną na talerz, właśnie ją zaprawi.
 Myślę, aleby pierwszej tak grubemu chłopu
 Na ręce niż na ptaki trzeba wlać ukropu.
 „Szkoda się, rzekę, tłuszcic, młodszy kto to zrobi.”
 Lecz gdy ją ten do gęby, nie do masła, drobi —
 „Ztąd znać niemyśliwego, bo, rzekę, myśliwi
 „Nie tak są na zwierzynę, jak Waszeć, łapczywi.”
 A towarzyszy; „Bo i ztąd, niedawno psom parzy,
 „Wzdy nie wie, że wprzód charci jedzą niż ogarzy.”

Zdarz Boże!

Kilkanaście lat chował skępiec beczkę wina,
 Na narodzenie tylko raz Bożego Syna,
 Drugi na Zmartwychwstanie, że to sam Bóg syci,
 Uwiązanym kosztował naparstkiem po nici.
 Jeżeli kapka upadła, ledwo nie ogryzał,
 Lecz od wierzchu do spodu beczę z pleśni lizal.
 Aż skoro też poczęła dużo octem grozić,
 Każe kilkakroć na targ do Krakowa wozic.

Jednak do wielkiej przyszła becza ona wzgardy,
 Gdyż tylko zażywają octu do musztardy.
 W tym na krzciny w dom jego zjechali się kumi,
 „Już też, rzekę, ten skępiec koniecznie zaszumi,
 Dadzą flaszkę kwartową dopiero z poczętej.
 Aż ów rzekszy: Boże zdarz, zacnie komplementy,
 Na zdrowie naprzód Pańskie, tak dobrem, tak starem,
 Do mnie półkwatrowem obieca puhairem.
 Wypiwszy, nic nie marszczy i wąs zawieszysty
 Osysa, choćby tylko dzieciom pić na glisty.
 Wezmę w usta, szczyry kwas, w uszu mi zadzwoni,
 Świeczki w oczach, ledwie krew nie wysiknie z skroni.
 Postawię, aż gospodarz; pewnie żołądkowe?
 „Przyznaję, ale oraz i wielkopiątkowe.
 „Przypominać od żydów pańskie dyscypliny,
 „Jednak się żadną miarą nie godzi na chrzciny.”
 Że gęś stała na zimno, przyniesiona z dworu,
 Należę tego wina w nie miasto saporu.

Rzadko ucziwie z pożytecznem bywa.

Grzeczny jeden a, co rzecz, starosta dostatni,
 Korzystając w affektach i przyjaźni bratni,
 Wielkim kosztem częstował, gdzież też siedział i ja.
 Więc gdy przy dobrej myśli co żywo podpija,
 Krzyczą wiwat! kolejna za kolejną jedzie,
 Widzę różne humory przy owej biesiedzie:
 Ci psy, ci damy, drudzy wojenne odwagi
 Wspominają. Aż jeden dwa duże bukłagi,
 Każdy pod stół chłopięciu poddając kieliszek,
 W rzeczy pijany, winem nalał, miasto kiszek.
 „Nie zwyczaj, rzekę, Panie, nie czyni braciej sromu.”
 „Przebac Waszeć, odpowie; nie pijam go w domu.
 „Tu pókim mógł, pótym pił, niewiele wykraczam,
 „Kiedy wino do bębna, miasto brzucha ztaczam.
 „Pozwoli i gospodarz, uważwszy, tuszę;
 „Wolić, że go wypiję, niżeli wykrztuszę.”
 Nazajutrz, skoro goście zjedzą się proszeni,
 Aż i ów, swe bukłagi zostawiwszy w sieni,

Wiesz się za stół, chociaż nieczytany z karty,
Tylko że z bębnow zbito obrączki u warty.

Pijany a dziecię prawdę powie:

Mając czas i pogodę z opobólnej zmowy.
Z ogranicznym sąsiadem wyjechałem w łowy,
Wziąwszy dla psów osypki, dla myśliwców kasze,
Schowawszy na inny czas inne knieje nasze.
Żebyśmy się ucieszyć w polu mogli snadniej,
Wybraliśmy się wozem z domu na kilka dni,
Które skoro nam w lubej krotofilii miną,
Skoro wóz nałożymy ptastwem i zwierzyną,
Powracamy do domu. Więc, że była blisko
Wieś szlachecka, nie pomnę, co jej za przezwisko,
Południe nadchodziło, wyciągnąwszy z boru
Ogary, prostym szermem jedziemy do dworu.
Świeżo był wdowcem został pan onego domu;
Miał tę wadę, że nie rad u siebie nikomu.
Postrzegszy gości oknem, wielkie widzi błędy,
Ani się schować, ani uciec mu którędy —
Bom już wchodził do sieni, bo wieprza zabito,
Stało w izbie przy ścianie na poście koryto:
Tym go chyżo przykryje wedle pieca mamka,
Słyszac, kiedy izdebna zapadała klamka.
Pytam, jeśli pan doma? a ta: jeszcze rano
Pojechał do folwarku, kędy sieką siano.
Gdy to było w jesieni, myślę, że mnie błażni.
„Jakożkolwiek, odpowiem, w nadzieję przyjaźni,
„Mając gotowy ogień, jest gdzie warzyć, gdzie piec,
„Gotuj jeść, będziesz miała na krakowski czepiec.”
Więc jej dawszy kapłona, bo nam czas był krótki,
I parę piec kuropatw, siądziemy do wódki.
Biegał jego po izbie we czterech lat synek.
Skoro dano kapłona, temu w upominek
Dam kolanko, wsadziwszy przy sobie na ławkę,
A chłopię w skok: Tatusiu, mam ja, mam buławkę.
Skoczywszy z ławki, prosto szło do onych niecek,
Kołacąc w nie buławką: trzeba się strzedz dziecek...

Domyśliwszy się, pojrzym po sobie z uśmiechem.

Kazawszy zatknąć parę kuropatw z pośpiechem,

Każę i myśliwcowi, że już ukrop zwieriał,

Zeby się dla psów tego koryta napierał,

Tedy rzecz zrozumiawszy, wielkim głosem pyta,

Jeżeli-by nie mógł wziąć psom tego koryta?

Nie każę ja, i owszem, że go szkoda brukać —

Inszego gdzie po stajniach i po chlewach szukać.

Przyjdzie znowu po chwili, że szukając wszędy,

(Chociażby mógł) nie może znaleźć go nikędy.

To też trudno mam tego koryta pozwolić,

Na którym, jako widzę, wieprza będą solić.

Niesąsiedzka, złość czynić w cudzym domu dla twej

Gnuśności, szukaj znowu. Póki kuropatwy

Na różnie, póty było mej z myśliwcem przecze.

Psi się dawno najedli. Skoro się dopiecze —

Tymczasem się dobrego napijamy wina —

Przyjdzie ów i tak głosem: nie ze mnie przyczyna,

Że charci i ogarzy w tak dalekim chodzie

Wynużeni do psiarnie nie zajdą o głodzie.

„Tylko mi go wymyście, gdy tak nieporządny,

„Ten pan,” rzekę (który już wycierpiał dzień sądny)

Słyszac one dyskursy, pocił się tak w łaźni

Nieslychanego wstydu, okrutnej bojaźni.

(A nas ani z ogary ani pole z charty

Nigdy tak, jako z błazna nie ucieszą żarty).

Toż dwu myśliwców wzięwszy koryto za rogi

Dźwigną, aż on pan leży wyciągnawszy nogi.

Skoczywszy ja do niego co prędzej z zastola

Witam, a że u niego nasza dobra wola

Przepraszając, braterskie napomnienie przydam,

Obrzydłym i nikizemnym równając go żydam.

Ten gdy się ptaków naje i opije winem,

Żegnając nas, przysięże pod złej matki synem,

Że przed takimi gośćmi nie skryje się więcej,

Gdyżby tego nie zażył na głowie cielecej.

Prosi na noc, lecz darmo i szkoda się dziwić,

Bo się i na wieczerzy chciał paży nas pożywić.

Aleć dobrze, odpowiem, świni w młócie pyśkaś

Przed nie perel, przed błazna szkoda zwierzyn ciskać.

Inni niedyskreci nachodzę dom własny, i spodziewają się marnym datkiem skaptować Pana Brata, by się powłókl do trybunału, i tam wbrew jasnej prawdzie na ich korzyść zeznawał; ale już najczęściej niedyskretni w oddawaniu pożyczanych pieniędzy: tu ani po polsku nie rozumieją, i trzeba aż obcego języka, łaciny sądowej, by dług przypomnieli. Pierwszy wypadek opowiada wiersz następujący:

Na inkwizycyją mię drugi do Lublina
 Pozwał; więc że na takich dwieście grzywien wina,
 Kto nie stanie pozwany, choćbym wołał wierę
 W domu siedzieć, atoli rad nie rad się bierę.
 (Cię szlachtę zabijają, świadkowie pozwani,
 W trybunałach, bo jeżdżą na nie rozgniewani;
 Miasto ochrony, skarży; więcej, niż rzecz sama,
 Prawi; za nic przysięga; miasto prawdy kłama).
 Jedzie ów i sam, prosząc, żebym się nie gniewał,
 Jeszcze za to odemnie przyjaźni spodziewał,
 Że sobie czyni do mnie konfidencyj tyle;
 Czterdzieści tylko cztery do Lublina mile,
 Których dla przyjaciela przyjaciel nie liczy;
 Odwdzięczać mi tę łaskę wielce sobie życzy
 (Chociem żadnej z nim nie wiódł, owszem kilka razy
 Psie kusy nie bez słusznej wyrządzał urazy);
 Oraz uczy, jakie mam świadectwo dać po niem,
 Honorując mię starym, chudym, białym koniem.
 Za konia mu dziękuję, a choćby był kary
 I młody, nie sprzedaję cnoty ani wiary,
 Nietylko za szkapią sierć: w większej u mnie cenie,
 Niż jego substancya, sława i sumienie.
 „Com słyszał od sąsiadów, powiem pod przysięgą,
 „Że waszce dwór szlachecki odziany siermięgą
 „Dla poznania, najechał, zabrał sprzęt niemały,
 „Stada, obory, owce; że i ten koń biały
 „Może tegoż gatunku, proszę wielce, żeby
 „W swoim, nie w moim domu sprawić mu pogrzeby;
 „Gdyż o lice gra chodzi, mógł-by mi kto zadać,
 „Żem ukradł — a z cudzego i wpół morza zsiadać.
 „Ostatek Waszmość, rzekę, zrozuumiesz z dekretu.“
 Zedrwił, jakby do niego strzelił z pistoletu:
 „Nie tejem się, rzeczce mi, spodziewał przyjaźni.“
 „Choćby najlepsza była, pozew ją rozdrażni.“

„Więc-by się już na takie świadectwo nie trudzić.“
 „Żal ci mi kosztu łożyć, żal i koni chudzić.
 „Jednak, kiedym pozwany, nie będzie-li kwitu
 „Trzeba mi dwom set grzywien lepszego odbytu,
 „Nie Waszmości na prawo.“ I musiał do grodu
 Sześć mil kłósać, musiał kwit posłać dla dowodu.

Ja o Pawle, on o Gawle.

Pożyczyłem pieniądze, bo miał drogę pilną,
 Blizkiemu sąsiadowi, na prośbę usilną,
 Chociem wiedział, że w żadnej prędzej okazji
 Nie zbędzie, kto w przyjaźni nie korzysta czyjej.
 Jako jeśli w potrzebie pieniędzmi wygodził;
 Już się go będzie liszył, będzie go obchodził;
 Niechże mu się upomni długu wedle karty,
 I łaski i przyjaźni zapomni zawartej.
 Czego i ja, dotychczas żywszy z tym sąsiadem,
 Sobie nauką, ludziom niech będę przykładem.
 Piszę, przypominając ustne i pisane
 Słowo, żeby mi były pieniądze oddane.
 Proszę raz, drugi, trzeci, żeby do ruiny
 Przyjaźni nie przywodził, aż on mnie nowiny,
 Co się dzieje w Podolu, co w Grodnie na sejmie —
 O pieniądzech i słówka. Żal mię najprzód zejmie,
 Żem kiedy sobie ciężko czynił jemu kwoli,
 Gdy mi pisze o czostku, a ja o cebuli,
 O Pawle, on o Gawle. A dalej gniew i z tem
 Łacińskim przez woźnego obsyłam go listem...
 A za się niź po polsku, po łacinie prędzej
 Domyśli, że nie nowin, ale chcę pieniędzy,
 Choćby swój umieć język należało raczej —
 Jednak znajdzie się w grodzie, coć go wytłomaczy.

Już w ostatnich obrazkach napotykaliliśmy rysy, mało zgodne z pojęciem o honorze i uczciwości; przytoczymy teraz i takie, gdzie i śladu animuszu szlacheckiego nie dopytamy, gdzie obrazę czynną skromnie przyjmą, bojąc się szabli, albo przechwalając się i odgrażając nieobecnemu, zmykną z pola, gdy na przeciwnika trafią; inny przypląci wreszcie wyrzeczenie się polskiej mody dotkliwym upokorzeniem, jakby za wsadzeniem peruki, pozbył się był serca polskiego:

Jeden ma język, drugi zęby.

Jeszcze była nowina, więc zwyczajną modą
 Dwu sąsiadów z kościoła proszę na gęs młoda.
 Dano jeść. Przeżegna ksiądz. Skoro za stół siedli,
 Bywszy im rad gospodarz, prosi, żeby jedli.
 Mało je, prawi jeden, gęba mu nie stanie,
 O ludziach; milczy drugi a je niesłuchanie...
 Ten w gębę kładzie, myślę, wyrzuca ów z zęby,
 Temu język natura, owemu da zęby...
 Lecz skoro się mu z owym gruby żart nie zdarzy,
 Utarszy swą obrusem, dosięgnie mu twarzy...
 Są w gębie zęby na chleb, są na gębę w dłoni,
 Jeśli swawolny język leda co blazgoni (plecie)...
 Już ich myślę rozwadzać, widząc zwadę jawną,
 Lecz jako ten żołądek, ów miał gębę strawną:
 Wino ich i pieczone, pojednało prosię.
 Mniej w sercu niż w języku: puścił to imo się.
 Dobry, spokojny człowiek, choć go wstyd i boli,
 Raz pięścią w gębę, niżli dwa szablą wziąć woli.

Mężny, gdzie nie masz trwogi.

Skoro się o grunt sąsiad z sąsiadem powadzi,
 Mnie się, coby z tym czynić, przyjechawszy radzi.
 Obesłać przyjaciele, jaki zwyczaj wprzody;
 Jeśli będzie uparty, jest prawo, są grody.
 Nie chciał tego i słuchać, „ale co zarobił,
 Do pierwszego potkania, krzyknie, będę go bił“
 (Tak podobno rozumiał, żem mu miał pochlebić) —
 „Lepiej by Panie Bracie mówić, będziem się bić,
 „W równym poczcie jeździecie: taż strzelba przy lęku,
 „Po pięci palców oba nosicie u rękę.“ —
 „Nie może być inaczej, choćby go na funty
 „Płacić, obmierzę mu ja szablą cudze grunty.“
 Więc gdy sobie inaczej perswadować nie da,
 Tylko zabić, przynajmniej niech się wypowieda,
 Żeby w śmiertelnym — rzekę, przytrzymał śmiechu —
 Gdzie o twą duszę chodzi, nie umierał grzechu.

Zje go żywo, pomyszę, taka jego mina.
Z tym odjeżdża, dla serca napiwszy się wina!
Cóż bies pierzy nazajutrz? blisko mego dworu,
Że święto było, oba zjadą się z niesporu.
Tuś! Tu! Z koni. Suną się do siebie z żelazem;
Wytnie tamten za drugim gębę temu razem,
Co wczora dokazował, od ucha do brody —
Z ostatkiem rycerz z pola uskrobał w zawody.
Pisze do mnie, skarżąc nań, że go posieklł zdradą
Na dobrowolnej drodze, gdy z kościoła jadą:
Bom ja nie chciał świętego dnia krwią jego mazać,
Leda kto może tego, czego on, dokazać.
Odpisuję, żalując tak jako się godzi,
Że nieszczęście po ludziach, nie po drzewie chodzi,
Które nad spodziewanie teraz go potyka:
Tamtemum księdza życzył, tobie cyrulika.
A dla drugiego razu, choć ci porwon katu,
Wiedz, że i żyd w złym razie rozgrzesza z szabatu.

Jednym palcem się w głowę drapie.

Galantom jeden ze Włoch, skoro gotowizny,
Wieś przedawszy nie stało, wrócił do ojczyzny.
Srodze się za grzecznego między szlachtą mieni:
Nie stąpi bez grzebienia, bez pudru, w kieszeni.
Zdaleka czuć od niego piżma i perfumy;
Że jednym palcem głowę, w czym wszystkie rozumy
Założył, umie drapać, i swoje nauki,
Bojąc się na nim dwoma pokudlić peruki,
Na której tak wysoki czub w górę wyczesze,
Żeby mogli bocianie słać dzieciom pielesze (gniazda).
Trafiło się, że bankiet senator w Krakowie
Sprawował, na który też galantoma wzwowie.
Ale kiedy sadzają nie wedle humoru,
Tylko jako kto godzien, respektem honoru,
Uraził się, że w Polsce, jako w cudzych krajach,
Nie masz na politykę względu w obyczajach:
Honor leda kto kupi, grzeczność się nam wradza,
I ten znać nie wędrował, kto gości tak sadza.
Aż siedząc wedle niego ktoś humorowaty,
„Kędyż taka błazeńska, rzeczce, moda? a ty

„Po coś wracał do Polskiej, czując się nad bracią
 „Grzeczniejszym, którzy jedną siedzimy postacią.“
 Toż go w pysk, usłyszawszy słówko urażliwe;
 A potem w pudrowaną wszystkie palce grzywe
 Zawiedzie, lecz się w szturmie pierwszy raz oszuka,
 Aż skoro z głowy spadła pod ławę peruka,
 Skoro pod nią namaca przyrodzoną wiechę,
 Jako wichur gwałtowny odarł z snopków strzechę.
 A galantom, co dotąd jednym palcem drapał,
 Rad, że się z gołą pałą drzwi z izby dochrapał.

W opowiadaniach tych wino wielką odgrywa rolę; spajanie domowych i gości przybierało takie rozmiary, że nie bez przyczyny Polskę grobem wina węgierskiego nazywano; więc opowiada Potocki w wierszu „W Węgrzech się wino rodzi, w Polsce umiera:”

Kupiec jeden węgierski, mając dobre ze mną
 Zachowanie przez długą uczynność wzajemną,
 Posyła umyślnego, pytając się jeśli
 Pewno, że sejm z Warszawy do Grodna przenieśli,
 Gdyż nieomylnie Węgry były-by u kata.
 Odpiszę, jaka świeżo stanie alternata,
 Że Polacy do Litwy i król z swoją radą,
 Kiedy kolej przypadnie, co trzeci sejm jadą.
 Myślę, skąd Węgrom ku nam ten afekt uprzejmy,
 Z taką pilnością pytać o Polskie się sejmy...
 Aż mi nie rychło na myśl ta padnie przyczyna,
 Że co u nas pszenica, to są u nich wina.
 Co my wodą ze Gdańska, to wielkim nierządem...
 Węgrowie od nas za nie odbierają ładem...
 Ale nam i sejmy rwą, gdyż pijane głowy
 Rozumu nie mogą mieć a cóż rady zdrowej...
 Aza za przeniesieniem do Grodna z Warszawy,
 Że od Węgier daleko lepszej dojdą sprawy
 Sejmy, bo już pijane przepadły Ratusze.
 Nie tak drwi miód koweński przy brzożowej jusze.

Skutki tego pijaństwa oplakane; przyplacają je życiem, naprzykład czytamy w wierszu „Spadł z wozu:”

..... Pijany szlachcic jeden i dobrego rodu,
 Gorzałki czy grzanego na kleparzu miodu

Czy obojga na migoć (wilgoć) zażywszy nie miara,
 Sam się wiozł na koleśie dobrych koni parą,
 Choć był woźnica i szedł rumak na powodzie.
 Upatrzył nieprzyjaciel duszny czas przygodzie.
 Bo kiedy je zacina, choć bieżą co pary,
 Spadszy z wozu kark stracił i poszedł na mary.
 Piszę nagrobek, zbywszy dobrego sąsiada:
 Widziałem niejednego, kiedy z wozu spada,
 Widziałem szyję łomiąc ale tylko ciałem;
 Żeby oraz i z duszą, tego nie widziałem.
 Karzcie się pijanicy, i nim na wóz wsiadać,
 Wszak nie trudno o mnicha, radzę wprzód spowiadać.
 Pomożec biedę spowiedź — i na łóżku szwanku
 Niechaj ten czeka, który pije bez przestanku,
 Na duszy i na ciele, przed i po spowiedzi,
 Bo dyabeł nie na dyszlu, ale w bruchu siedzi.

Lecz prędzej niż życie, trwonią w winie substancję, i wyczekują
 potem niecierpliwie bogatego spadku, co jednak nieraz zawiedzie, jak
 owego utracjusza w wierszu p. t.: „Nie miawszy pieczenie, rozeń
 struże:”

Przepiwszy substancją utracjus, co mu
 Ojciec odumarł, nie miał prócz jednego domu
 Na pustej roli, którą Bezdechowem zowie,
 Zkąd i dziś modę wzięli utracjusowie.
 Wždy go ciesze nadzieja, że się zaś połata,
 Skoro śmierć majątnego stryja sprzątnie z świata.
 Obiecawszy sto złotych, bo je na to chowa,
 (Chociaż stryjowi wieku nie minie połowa),
 Do ostatniego konia, w którymkolwiek czesie
 Nowinę mu o śmierci jego kto przyniesie.
 Zachorował stryj, aż jeden po munsztutuk (dar poselski) bieży,
 Dając znać synowcowi, że się nie wyleży.
 Prędko ten, czemu-by rad, uwierzy łakomy,
 Nie czekając. nowiny że potwierdzi chromy.
 Jakby na tureckiego przesiadł konia z klacze,
 Sprząga cugi, przyjmuje sługi i trębacze.
 W lot i na nich żalobę, i sam na się sprawi;
 Przedą, co jeszcze swego ma, abo zastawi.
 Jedzie nawiedzać ciało, lży gwałtem wytłacza

Z oczu w chustkę. Alić stryj z choroby się zwłacza,
 Który, dowiedciawszy się, że mu śmierci życzy,
 Synowca, zapisawszy dalszym, wydziedziczy.
 Sto złotych testamentem i konia z munsztukiem
 Leguje, co dał za śmierć jego munsztutukiem.
 Dopieroż prawdziwy płacz i łzy niezmyślone,
 Gdy przyszło wielkie garce tłuc drogo kupione,
 Odprawiać sług, trębaczów i przedawać cugi,
 W nadzieję sukcesyjnej kupione za długi,
 I żaloby po żywym, żebrząc chleba stryju,
 Co go przeżył kilka lat, dodzierać o kiju.
 Nie zaraz ci to panie jeść, kiedy gęś rzeką;
 Czekać, aż zarzną, aż ją oskubią, upieką.

Pieniądze, tracone tak marnie, decydują już o znaczeniu człowieka; zanic zasługi, przymioty osobiste, związki rodowe — znają cię, póki co masz; chlubią się tobą, jeśli masz wiele; gołyś, jużes nie nasz brat, ruszaj w świat za oczy, a tam praw o twoich kolligacyach, nie nabawiaj nas tu wstydu:

Siła krewnych kto się ma dobrze.

Nikt nie zna, nikt nie widzi szlaehcica na kmiecy
 Rolej; póki dziurawe gunią lata plecy,
 Wstydzą się go możniejszy pokrewni zwać bratem.
 Niechże wsi nakupiwszy, zostanie bogatem ..
 Nie brat, ale Jegomość i i Dobrodziej wielki;
 Ja siostrzeńcem, ja wnukiem jego rodzicielki;
 Jego baba i moja były to dwie babie,
 Kochały się, jednakie mając w herbie grabie;
 Ja z nim służył, ja w teźże studowałem szkole —
 Choć z korca maku blizki pokrewny się kole.
 Niech będzie i chłop rodem z płodnego Mazosza,
 Uczynią go szlachcicem dla miąźszego (grubego) grosza,
 I gotowi przysięgać przy nim na wywodzie,
 Że szlachcic urodzony, choć go niemasz w grodzie.

Na toż drugi raz.

Ma i to drugi szlachcic, skoro wszystko ztera
 Po ojeu, że się w krewność możnych ludzi wpiera.

I kędykolwiek gościem przyjechawszy siedzie,
Zaraz powinowactwa swoje liczyć będzie.
Choć nikt o to nie pyta, i z ojca i z matki,
Kto po kim brał przed stem lat abo więcej spadki,
Gospodarza tym uczeić naprzód nie omieszka,
Choć jako żerdź po płocie, po zagumniu ścieżka.
Ledwie nie od Noego linią wymienia,
Dowodząc mu spólnego z sobą pokolenia.
Niemasz herbu żadnego, niemasz wojewody,
Żeby i on do niego przez długie wywody
Nie należał i w Polsce i w Litwie, a zatem
Panna Marya tylko nie siostrą, nie bratem
Pan Jezus (w przypowieści co mówią Polacy),
A suknie-by na grzbiecie nie jęli się racy.
Pojazd cygański, chude dwie szkiece (szkapy) w kolasce.
„Tak jasnych krewnych, rzekę, dziwno mi niełasce,
„Bo gdzieby się wam wszyscy złożyli po groszu,
„Mogli-byście pachółka chować od łogoszu (wierzchowca),
„I w sukni, i w pojeździe lepszym odziać pierzem,
„Nie macając tak często brudu za kołnierzem...
„Na cóż prawić o braciej, o bogatym stryju,
„O przyszłych sukcesyjach, sam chodząc o kiju?..
„Lepiej by służyć, niż się krewnymi wielmożyć.
„Dziś na grzbiet, jutro w gębę nie będzie co włożyć.
„Ty się krewnymi chlubisz, oni wstydzą za cię —
„Wierę nie proporcya: oboje po kacie!“

Przechodzimy do bardzo drażliwej materyi, która szczególnie w wieku XVII wiele krwi napsuła, liczne processy wywołała, jawnie gorszyła. W gruncie idzie znowu o pieniądze i ich znaczenie. Mieszczanin, dobywszy grosza w handlu, rzadziej w rzemiośle, przykro odczuwający pogardę swego stanu, jakim szlacheć i żołnierz pomiata, chciałby honorów i powagi, wbrew prawu, dzierżawi i kupuje wioski, i wdziera się w stan uprzywilejowany; szlachta, zazdrosna o przywileje, jakie przodkowie nie funtem, kwartą i łokciem, a krwią i szabłą zdobywali, nierada nowym przybyszom, wymawia im pochodzenie, zadaje nieszlacheckość, wietrzy wszędzie „kostroucha” (pies mieszanej porody) „szota” (handlarza) „zamsika” (od skórki), podejrywa świeżego karmazyna, łaje i odgraża mu się; trzeba, by się w szlachectwie osiedzieć, możnej protekcyi (np. Lubomirskiego), własnych przymiotów (dobry człowiek. dajcie mu pokój), a najczęściej otwartego worka,

(zadający nieszlachectwo przyznaje w grodzie, że się pomylił, że się teraz lepiej poinformował o rodowitości JMci Pana Brata, i płaci winę, jaką mu w kilkanaście wróca). Przejście odbywa się nieraz stopniowo, zaczyna się od zamiany nazwiska i końcówki, z *ie (icz)* na *eki*, (ski, drwią ze szlachty skickich), od wynoszenia się z miasta na wieś, od służby wojskowej (jakby żołd nie wystarczał i jeszcze szlachectwo za to się należało, bez osobliwszych zasług i przewag); częściej forytuje pan, taki Żółkiewski lub kto inny, sługę swego, hajduka, nawet błazna, na pisarza u dworu własnego, a potem i na urzędnika ziemskiego. Utyskiwania na chłopowiczów i miejskich synków, wdzierających się w szlachtę, cechują literaturę obyczajową siedemnastego wieku (w zapiskach sądowych śledzimy podobne skargi od samego ich początku, od XIV wieku); znajdziemy je w byle jakim pomniku, np. u Stanisława Słupskiego i Władysława Jeżowskiego (Zabawy orackie 1618 r., przerobione na Oekonomią r. 1638), gdzie czytamy:

Tak wiele mieszczan szlachtą tych czasów nastawa;
 Cudzoziemskim zwyczajem, czy jakim się stawa.
 W Polsce dlatego szlachty do potrzeby mało.
 W województwach ich przez to siła zubożało;
 Rzadko teraz w której wsi natrafisz szlachcica,
 Jeżeli mieszka — w księżej; nie znajdziesz dziedzica,
 Który-by czasu każdej potrzeby wyprawił
 Syna swego albo sam do boju się stawił i t. d.

Najobszerniejszym i najskandaliczniejszym pomnikiem tej gałęzi literatury jest tak zwana „Księga Chamów” (Liber generationis albo Catalogus o tych, którzy de gente y progenie sławnego rodzaju Plebeanorum początek swoy y originem ducunt; oryginał w Ces. Bibliotece Publicznej w Petersburgu, niegdyś Załuskiego, sygn. Rękopisy olskie IV Folio nr. 103; dawny odpis w Ossolineum), układana między rokiem 1624 a 1639 na podstawie wypisów z ksiąg sądowych i miejskich, i relacji ustnych „wiarogodnych,” z zapiskami cyrylicą i białymi kartami dla niezbędnych dopełnień, zawierająca, po zjadliwych wycieczkach i wierszach przeciw takim szlachcicom (zwanym od szlachtuza, gdzie ojciec było kłó), od karty 17 do 474 alfabetyczny spis tej szlachty (od Abramowicz do Zyżański), z prawdziwą historią ich starożytnych domów, pełna zmyłek, plotek, gołosłownych twierdzeń, lecz i oczywistej prawdy, choć tę nie zawsze oddzielić można od wymysłów i potwarzy, i gdzie się przewija masa cenionych dziś ogólnie nazwisk i rodów, książka niesłychanie ciekawa, niesłychanie drastyczna,

niewyczerpana kopalnia dla nowellisty i historyka obyczajowości, lecz nienadająca się dla arcydrażliwej, a częściowo wręcz nieprawdziwej lub fantastycznej treści do opublikowania. U Potockiego sarkania i przytyki takiej świeżej szlachcie bez zasług, a z pretensjami nader częste, lecz ogólnikowe, anonimowe — z nich wypisujemy tylko jeden wiersz; dodajemy trzy inne, gdzie zamiast ogólników opowiada się o szlachcicu niepewnym, wyliczającym kolligacye, choć go nikt nie pyta; o innym, za którego niby Potocki sam, prawiąc nieprawdę o jego kolligacyach w oracyi ślubnej, pocić się musiał; wreszcie najobszerniejszy, o owym miejskim synku, który wkupienie się do szlachectwa ostatnią nędzą przyplacił, jakby ilustracja żywa do dwóch wierszy u Jeżowskiego:

Kto, jeśli nie jest szlachcic, ziemie sobie kupi,
Za ziemianina waży, każdy go też łupi.

Zaczynamy od ogólnika:

Igra w niem owies.

..... Nie dał się słyszeć, póki bóty z błota skrobał.
Skoro wziął wsi po żenie, pieniędzy nazobał,
Aż mój szumi, aż trąbi, kto go znał w baraniem
Kožuchu, nie zna, widząc sobole dziś na niem.
Ledwie głowa na czapce dotąd i to stary
Znała, dziś z aksamitu nosząc szarawary,
Nie może z nim, przywykły, poznać zadek, habie:
Gwałt oraz i natura i cierpią jedwabie.
Że sam nie w karmazynie farbowany z dziada,
Sług w niem, nosząc na grzbiecie ich farby, dokłada.
Jeszczeżby zdrów niech szumiał, niech-by się zdrów zdobił,
Kto zasłużył i tego na wojnie się dobił —
Ale ów, co z przodków swych abo krowy dajął,
Abo na łokieć w sklepie materyje krajał....
Przynajmniejby poczekał, aż z niego natura
Chłopska wyńdzie, która się długo trzyma gburą,
Aż aptekarz oliwę, muszkałową galkę,
Szynkarz wywietrzy, którą wskroś prześmiardł, gorzałkę.
Pieniądze w niem igrają; o żalosa biera (los):
Żołnierz je w wojsku traci! a ten doma zbiera.

Sam się oskarża, kto bez skargi sprawuje.

Przyjechał do mnie szlachcic. Ochotę pokaże.
 Zjadszy, wina zwyczajnie chłopcom nalać każe.
 Wdamy potem w rozmowy, aż mój jako z bicza
 Swoję mi familiję, swe herby wylicza;
 Kto zrodził jęgo ojca, matkę, babę, dziada,
 Wywodzi, nieszlachectwa choć mu nikt nie zada.
 Przykrzy mi się, słuchając onych jego plotek,
 Regiestru sióstr i braci, wujów, stryjów, ciotek,
 Kogo który wziął z domu, która była za kiem;
 Prawi księgi rodzaju długim zodyakiem,
 Żeby tego nie spisał na skórze wołowej.
 „Szkoda-by, rzekeę, sobie tym zaprzętać głowy,
 „Swego, choć mi należy, nie słucham rachunku;
 „Wolimy się czym innym zabawić przy trunku;
 „Na sejmik deputacki zostawić ostatek
 „Abo zregiestrowawszy schować to dla dziątek.”
 Jakoż mówią sąsiedzi o tym, że nie z pełna
 Jego była maczana w karmazynie wełna.
 Sam się oskarża i znać coś do siebie czuje,
 Kto niewczesnie i kto się bez skargi sprawuje.

Na cóż prawdę w bawełnę uwijać?

Ubogą, znaczną, biorąc szlachciankę bogaty
 Za żonę, prosi, żebym dziękował mu w swaty.
 Więc że sam był nowotny, a z liczby niepewnych,
 Pytam z ojca i z matki o jego pokrewnych:
 Wspomnieć przodków i jaki herb kogo okrywał,
 Przy spowinowaceniu domów zwyczaj bywał.
 Niemasz ich, bo choć byli, ani sukiennica
 Ani z szota (kramarza) korzenny sklep czyni szlachcica.
 Proszę z niskim ukłonem, żebym mógł być wolnym,
 Nie czując się do takiej posługi udolnym.
 Jednak obligowany bywszy mu z miar wielu,
 Muszę rad nie rad prawić na jego weselu.
 Jaka też tamta była moja oracya!
 Kto inszy jasną prawdę w bawełnę uwija —

Ja szczyrý fałsz za prawdę, choć język zająka,
 Zwłaszcza kiedy niejeden, wiadom rzeczy, krząka,
 Udaję, przytaczając z Jaćwingami bitwy,
 Wspomnię z Polskiej Tęczyńskich, Radziwiłów z Litwy.
 Pan młody wielce kontent, jakoby się w niebie
 Widział; o gości nie wiem; ja bynajmniej z siebie.
 Jakobym kopę grochu abo żyta zmlócił,
 Z językiem się pasując, takem dobrze spocił.
 Dalekoż, rzekę, łącniej prawdę słowy zdobić,
 Niż na nią kłamstwo, wszystkim wiadome, przerobić.
 Niech krwie upuści, czoła na wojnie zapoci:
 Nie uczyni szlachcica oracya, Szoci!

Chroniąc się popiołu, wpada na węgle.

Widząc, że szlachta po wsiach z swoich dworskich wzorów,
 Jako mieszczanie z kmiećmi, nie płaci poborów,
 Kańozukiem abo kijem bić ich trudno, — co go
 Darmo często potyka, tamtym płacić drogo —
 Co cięższa, żołnierz mu się nadprzykrzy przechodni,
 Od czego tamci w domach i we wsiach swobodni —
 Kupił szlachectwo, bo dziś, komu się zabaży,
 Byle były pieniądze, wszystkim na sprzedaży,
 Mieszczanin, który, mając kamienicę w rynku,
 Różnym kupcząc towarem, pilnował i szynku.
 Więc kiedy nie chce płacić żadnego podatku,
 W nadzieję przywileja, wójt go na ostatku
 Podaje wedle prawa poborey w delacie.
 Przyszła egzekucya; płacicie panie bracie!
 Bo wezmą kamienicę, żeś prawu przeciwny.
 Szlachcic wolny, niech płaci kamienica grzywny.

Pisze gospody żołnierz; szlachcic swojej nie da.
 „Nie mieszka szlachta w miastach, żołnierz odpowiada
 Rzemieślnik, szynkarz, darmo tym tytułem chlubi.“
 A gdy ów, ohoć pod nosem, rzecze mu coś grubiej,
 Sunie ten do kańczuka. „Tknij jedno szlachcica
 „Kańczukiem, urośnie mu na grzbiecie pszenica:“
 Rzecze, zkoźliwszy (zachmurzywszy) czoło. Tu żołnierz do broni,
 Chce pysk przejechać, ale garścią go zasłoni.

(Podobniej **na** szlachectwo, niżli **dla** szlachectwa,
 W wojsku, nie w mieście, było przyjść mu do kalectwa).
 I sam na się, żeby w niej lepszą miał wygodę,
 W jego domu — jakoż zgadł — zapisze gospodę;
 A ów do cyrulika z ranną ręką, głupi,
 Bo raz poborca, drugi, żołnierz go wylupi.
 Przypadł zwyczajny jarmark, prawie ósród lata.
 Kilkunastu sąsiadów do szlachciza brata,
 Zmówiwszy się, przyjadą; każą owsa, siana
 Dla koni brać, co trzeba; sami wódki z rana
 Zażywszy z gospodarzem, szli na miasto, żeby
 Każdy swoje do domu kupował potrzeby.
 Gotuje, co kto przyniósł, dziewczka ochędożna;
 Garka na sztukę mięsa, na pieczenią różna
 Nie żałuje (były też kapłony opravne):
 Miejska przyjaźń, przysłowie jako mówi dawne.
 Proszą szlachcica brata, jeść z sobą pospołu.
 Siadł z żoną, i co miał sam, każe dać do stołu.
 Więc jaki miejski zwyczaj przed knapy (tkacze), przed szewce,
 Każe piwa przed szlachtę postawić w konewce
 Karczmarz; zaczyna rzędy chłopskie tą nadzieją,
 Że wszyscy goście dawać każą go kolejją.
 A gospodyni wstawszy od stołu tymczasem,
 Piszę kretą po ścienie kreski nad szynkwasem.
 Wypiwszy kilka garcy, gdy sam nie wspomina,
 Proszą, żeby gospodarz kazał dawać wina.
 „Mnie go, rzecze, nie stało, lecz jeśli każecie;
 „Jest po dziesięci złociech u sąsiada w trecie.“
 Każ nosić na swój kredyt; piją; rzekszy krótee,
 Dziwno mu, gdyż się przedtem bawiali na wódce,
 Zkąd na tak drogie wino dziś rezolucya?
 Dziwnjąc równo z gośćmi gospodarz wypija
 Za zdrowie każdego z nich, i ci bez oddechu,
 Z miejskiego mu winszując szlacheckiego ceołu,
 Tego honoru, który fortuna mu zdarza,
 Za zdrowie ochotnego w kolej gospodarza,
 Który bez krwi rozlania, co rzadka nowina,
 Doszedł prerogatywy koronnego syna.
 Skoro już mieli dosyć, bierą się do koni.
 Nie trzyma ten, co każdy, choć dla ceremoni,
 Szlachcic w domu swym czyni, owszem upomina
 Za owies, siano, piwo i co wyszło wina.

Na to jeden od wszystkich: „nieszlachecka moda;
 „Już to dwór, kędy mieszkaś, nie wjezdna gospoda.
 „Kto się szlachcicem w mieście abo we wsi staje,
 „Szlacheckie mu należy zaraz brać zwyczaj,
 „A żaden nie może być, co kwaterką mierzy
 „Gorzałkę; inaczej się paw, niż kogut, pierzy.
 „Nie pytaj się, skąd wino, skoro cię przywitam
 „W moim domu: ani ja w twoim o to pytam.
 „Wolno odjeść i odpić u każdego z braci;
 „Znieważa gospodarza, kto mu obiad płaci.
 „Ja-był takim gębę wyciął z prawej strony,
 „A tyś i w domu własnym nasze jadł kapłony.
 „Żaden-by cię nie puścił, bądź takiego zdania,
 „Od wieszery ze swego, ba, i od śniadania.
 „Tobie-by, niżli z nami, z solą w oczu milej.
 „Postępki szlachtę czynią, bracie, nie przywilej!
 „Nie przywilej; noś pełną zacnych przodków tekę,
 „Jeśliś kutwą, będziesz nim, że gorzej nie rzekę.”

Słyszac, w głowę nieborak gospodarz się skrobie.
 A żona: „Szlachcicemeś chciał być, awoż tobie!
 „Żnij-że teraz pszenicę na palcach od szable,
 „Kiedyś nie chciał na plecach od kańczuka, dyable!
 „Płać-że teraz sowitym, szlachcicu, podatkiem;
 „Pomógł co drogo kupny papierek z opłatkiem?
 „Życ było do starości, tak jakoś żył z młodu;
 „Co targ, co jarmark, tego wyglądaj rozchodu.”

Jakoż kiedy jedni drwiąc, drudzy gwałtem biorą,
 Przyszło mu z przywilejem włóczyć się komorą.

Przedstawiamy nakoniec rzecz o sługach. Utyskiwania na wielość i niezdarność służby dawne a częste, spotykamy i u cudzoziemców, piszących o Polsce. Zaczynamy znowu od ogólnikowych skarg na służbę polskie, ich dobry byt ze szkodą panów, jak nieraz kaprys fortuny służbę wynosi, że grubo porośnie, a pan, rogato rodzony, gomoło (bez rogów) schodzi; dalej anegdotę o wzajemnem spychaniu zlecenia pańskiego, które sługa wkłada na stangreta, a ten na forysia; opowiadanie o karaniu chłopców fukaniem, klęciem, groźbą i kańczukiem, i co za fatalne skutki odkładanie kary za sobą pociągnęło. Wreszcie opowiadanie o niedyskrecyi gościa nadto poufałego z własnymi sługami w obcym domu, i jaką dotkliwą naukę od Potockiego odniósł.

Kto służy, wolność traci.

Nie ma ta miejsca w Polsce przypowieść, gdzie-by to
 Nie panowie sługom, lecz panom służy myto
 Placić mieli, bo wszystka robota ich — ziewać,
 Stojąc przed panem: za to karmić i odziewać;
 Chudo konia kupiwszy, na pańskim obroku
 Wypaść i na jarmarku przedać rok po roku;
 Mięś na stół przy gościu, a pewnie nie z kaszą;
 Panu wino kieliszkiem, słudze za drzwi flaszą.
 A trzeba dla pychy kilkadziesiąt chować,
 Gdzieby kilku wygodnie mogło posługować.
 Każdy z osobna swojej pilnuje posługi,
 Że już i sługa sługę chowa sobie drugi.
 Byle asystencya, choć spiżarnia leci, —
 W Bochni sól, w lesie drwa, dosć do wożenia kmieci.
 Nie darmo o Polakach ludzie ziemię cudzej
 Powiedają, że swych sług panowie są słudzy.
 Aleć prócz cudzoziemców, widzieliśmy sami
 Panów takich, co stali u sług swych za drzwiami.
 Sól w Bochni, drwa są w lesie, wozić ich niema kto,
 Bo też niemasz i mięsa i kuchni. Opak to
 Śleporoda fortuna obróciła koło

Idź ty psie, idź ty ogonie.

Jadąc w drogę pan jeden pokarmował w Bieczu,
 Nie mieszkał kowal w mieście, tylko na zarzeczu.
 Wiedząc, jako skaliste tamto Podbieszczedzie,
 Każe koniom poprawić podków po obiedzie.
 To pan słudze; sługa zaś zleci stangretowi;
 Stangret szukać kowala swemu forysiowi.
 Sługa pana, woźnica sługi, ten woźnice
 Nie słucha, miasto kuźnię, szedłszy do piwnice.
 Pyta pan sługi, jeśli konie, jako mu to
 Zlecił, gdyż trudno jechać inaczej, pokuto?
 Rozkazałem woźnicy, a ten słał forysia —
 Jutro chyba, ale to nie może być dzisiaj,

Bo kowal węgla nie ma (choć nie ta przyczyna;
 Nie chciało mu się z miasta od dobrego wina).
 Złóż jedno pychę z serca, idź sam do kowala.
 Ale mi autoritas — rzecz — nie pozwala.
 Rozśmiawszy się pan na to, większa necessitas
 Niech jej ustąpi, kędy trzeba, autoritas.
 Podobniej wam uchylić swojej na stajanie,
 Niż mnie na milę konie pochromiwszy, Paniel!

Nie klnę cię.

Zwyczajna to u drngich, że mając przyczynę,
 Wolą łajaś, niż wstrząsnąć chłopca za czuprynę;
 Wolą klnąć i złorzecząc gębę sobie mazać,
 Niżli sam złego wybić, albo komu kazać,
 Choć to krom grzechu może, byle była miara,
 Żeby nie przenosiła zasłużenia kara....
 Niejednemu tak uszy otrętwi łajanie,
 Jeśli go często słyszy, że nic nie dba na nie,
 Żeby wolał tysiąc słów na swojej zniewagę,
 Zwłaszcza sługa, niż jedną ręczną odnieść plagę.
 Choć ci będzie tak krnąbrny, tak ocięty drugi,
 Że mu już spowszodnieją kije i kańczugi.
 I lepiej mu kazać precz, niż kłąć abo go bić,
 Gdyż trudno zlej obojgiem natury przerobić,
 Chyba że w cierpliwości chce się kto wyćwiczyć,
 Może takiego sługi pewnie sobie życzyć...
 Jakom ja znał jednego, który dla nauki
 Tak świętej, i woźnice chował i hajduki...
 Odbywając leda czym, chował sługi, bo go
 Nie wiele kosztowali, nie płacił im drogo.
 „Nie klnę cię chłopcze, ale za leda przyczyną
 „Przypomnięć twą robótkę słuszną dyscypliną;
 „Pamiętaj-że to sobie.” Tak mój sąsiad powie
 Co raz chłopcu i zawsze iści mu się w słowie.
 Że mu się już nadprzykrzy owa słowność długa,
 Bo mu za każdą skóra zlezie od kańczuga.
 A ten na swojej myśli: pokaże to próba
 Wkrótce, że będziemy na się pamiętali oba.

Bies przypierzy, że tłucze, stawiając szklenię,
 I zwyczajną od pana słyży obietnicę.
 Wiedząc, że łąco o kij, kto chce psa uderzyć,
 Że go pan nie zawiedzie, że mu trzeba wierzyć,
 Upatrzył czas, żeby go kwitować z kontraktu
 Pierwej, niżli z nim przyjdzie do terminu taktu.
 Wziąwszy co w skrzyni srebra, przy kontuszach złota.
 Odmieni z domu forum do Węgier niecnota.
 W wodzie kamień utonął abo węgorz w Wiśle,
 Darmo na różne strony szpiegi po nim wyszle —
 Gdzie jedna złodziejowi, dziesięć dróg pogoni.
 Natrudziwszy czeladzi, nadbiegawszy koni,
 Jedzie do mnie żaloszny tak znaczną ruiną.
 Podobien był do tego swoja, rzekę, miną.
 Dał-by mi Bóg go dostać, prosto na szubienię!
 Lepsza rzecz było kupić panie bracie szklenię,
 Abo skazać, nie straszac chłopca odpowiedzią;
 Teraz pozbywszy srebra, kontentuj się miedzią.
 Każdy bowiem ucieka, kto się bicia boi;
 Moja rada napić się po tej szkodzie swojej.
 Ostrożnie chłopcze z kuflem, nie z żelaza kuty,
 Przecie nie do złotnika, wolę poń do huty.
 A ten frant: „Dobrodziej!; często, rzecz, traci
 „Obietnica u ludzi, gotowizna płaci.
 „Będzie-li dobra tamta, nadzieja jej czekać,
 „Lecz jeśli zła, zawczasu strach radzi uciekać.
 „Szklenica częstokroć myjąc, kiedy się zabruce,
 „Nie szklany, od kańczuka mój się grzbiet nie stłucze.”

Znamy się doma, znajmyż i ludzi.

Znajmy się między ludźmi, mówią, znając doma,
 Gdy się żona za męża, lub ten za nią sroma,
 Choć łącniej pokryć, jeśli które z nich co brydzi,
 Niżeli w oczu wielu, kiedy nikt nie widzi.
 Nie znać jedno drugiego, zaprzec-by się raczej,
 Wolalo, jeśli głupie pijano dziwaczy.....

Często u mnie bywając, bo w sąsiedztwie blizkiem,
 Niepolityczna pani za każdym półmiskiem,

Podając go woźnicy abo hajdukowi,
Znamy się doma, znajmyż i u ludzi, mówi.
Markotno mi szkaradnie na one jej sługi.
Raz po stole obrzędziem, pojrzę na nie, drugi,
Już ci napchawszy brzuchy ładują kieszeni.
Szepecę chłopcu, żeby ich prowadził do sieni,
Do grochu, do kapusty, ale ani, ani
Chcą odstąpić poznania w mym domu swej pani.
Sama dotąd mało co, abo nic nie jadła,
Choć ustawicznie z wierzchem na talerze kładła.
Śmiał-bym się, nie śmieszno mi, owemu poznaniu.
Podobno Mościa Pani do nas po śniadaniu!
Raniusieńko, odpowie, puściłam się w drogę,
Kilka minawszy granic, przecież jeść nie mogę.
Ale ta kuropatwy w moim czując domu,
Nie żałuje kapłonów i kur ledakomu.
Nie kazałem ich z kuchni nosić dla hajduka,
Ledwie wątroby złodziej godzien albo kruka.
Cętką cyny parobka przerobi w pachółka,
Tylko mu wina nie da, nie postawi stołka.
Więc kiedy nic do smaku nie masz dla Jejmości,
Zbierajcie z stołu rzekę, dosyc znajomości.
Kazawszy z tak niewdzięcznym gościem bawić żenie,²
Żeby dziś nie jeździła, proszę uniżenie.
A woźnicy z hajdukiem, na smaczne kawałki
Niosą garniec od żyda do stajnie gorzałki,
Choć dosyc do uspienia było na nich kwarty.
Puszczono zatym z psiarnie ogary i charty:
Miasto koryta, w którym jadali zwyczajnie,
Do onejże myśliwiec zawabi ich stajnie.
Nie trzeba do herapu trąbić było na psy,
Bo nietylko pieczonki wywlekli im z kapsy,
Ale nadolki po pas, gdzie pachnęła jucha;
Zanadrza gryzą, tylko nie imą się brzucha.
Nie masz sług do wieczery, skoro jeść przyniesą;
Dziwi się pani mówiąc, podobno w karczmie są,
Zapomnieli obiedniej znajomości z panią —
Niechże też w karczmie jedzą, tak swawolą ganią.
Aż skoro do tłumoków dzieweczę owych szuka,
Ledwie się odartego dobudzi hajduka.
Ju też skoro świt w pole, jeszcze gościa spała,
Która pewnie swoich sług w domu nie poznała:

Przyszło się znowu z nimi poznawać i bratać —
 Nowe szyć, abo suknie pogryzione latać.
 Tyle z głupstwa swojego ma korzyści, to mię
 Cieszy, że z jej sługami swe psy oznajomię.
 Ta jest i dzisiaj wielu domatorów moda,
 Że ledwie nie wprzód chłopcu sztukę mięsa poda,
 Nim sam włoży do gęby, ale nie masz dziwu:
 Pan ją rzadko kiedy je, chłopiec jako żywo.

Oto przesunął się przed oczyma naszymi szereg obrazków, opowiadań, anegdot z domowego życia szlacheckiego za Jana III. Nie wydobywaliśmy z nich rysów i szczegółów do odtwarzania duchowej fizjognomii opowiadającego, nie wyprowadzaliśmy wniosków co do jego poczucia honoru i delikatności, obrażanego niedyskrecją gospodarza, gościa, sąsiada; co do jego rubasznego usposobienia, ceniącego sobie figle, jakie pyszałkom, skąpcom, modnisiom, mieszcuchom-szlachcicom, niegrzecznym, on sam lub inni płatali. Nas zajmowały opowiadania same, jako kopalnie rysów obyczajowych, niespotykanych po innych pomnikach ówczesnej literatury, dosadnych, trafnych, ciekawych, malujących dawne czasy i dawnych ludzi, w rozmiarach skromnych, w obejściu codziennem. Nie odsłoniłiśmy żadnych zajść nadzwyczajnych, wzruszających, tragicznych; stary szlachcic gawędziarz opowiedział nam żywo a barwnie, jak około niego jedzą i piją, tracą i skapią, służą i bawią się, ceremonjują i poufałą, jak żyją, on i sąsiedzi.

A. BRÜCKNER.

Gabinet
 Filologiczny
 im. G. Korbuta
 T.N.W.

K. 11408